

ROZDZIAŁ 1

Ciężka, lepka mgła otuliła stolicę. Za chwilę z kupionych na kredyt mieszkań wysypią się tłumy spieszące do pracy. Każda z tych osób codziennie biegła na złamanie karku, żeby zdążyć zameldować się u szefa – to on decydował o ich przyszłości i o tym, czy będą w stanie spłacić raty w banku. O siódmej uliczne latarnie wciąż sączyły żółtawe światło bez względu na to, że wkrótce nastąpi godzina zero.

Tymczasem Laura po raz drugi tego ranka z impetem uderzyła w dzwoniący budzik. Potrzebowała tych kilku minut snu. Nawet nie pamiętała, o której zasnęła. W każ-

dym razie jej ciało krzyczało o więcej, choć świadomość domagała się realizacji ustalonych celów. Przez chwilę walczyła jeszcze z mnożącymi się myślami o odpowiedzialności i innych bzdurach typowych dla korporacyjnych szcurów. To wystarczyło, by trzydziestoczteroletnia singielka zwlokła się z łóżka i wciąż nieprzytomna poczłapała do łazienki. Po drodze zajrzała do kuchni i uruchomiła ekspres.

Chwilę później opatulona szlafrokiem, w turbanie z ręcznika na głowie zakrzętnęła się w kuchni, żeby przygotować sobie śniadanie. Nic nie pobudzało jej do działania tak jak omlet z dwóch jaj na boczku. I co z tego, że to bomba kaloryczna? Tej zimy może i przytyła dwa czy trzy kilo, ale tak już z nią było. Organizm Laury sprytnie gromadził zapasy zimą, żeby latem pozbywać się ich bez większych problemów. Niestety nędzna zawartość lodówki nie napawała optymizmem. Oprócz na wpół zgniłego ogórka i resztki spleśniałego sera nie znalazła niczego, co nadawałoby się do zjedzenia.

– Cholera jasna, zapomniałam o zakupach – mruknęła się do siebie.

Wiedziała, że musi w takim razie jak najszybciej wyjść z domu, żeby jeszcze przed pracą zdążyć kupić coś na śniadanie.

Idąc do łazienki, zrzuciła ręcznik z głowy. Kaskada mokrych, modnie ufarbowanych włosów w stylu om-

bre opadła na ramiona. W pośpiechu nałożyła piankę i zabrała się do układania fryzury. W jednej ręce miała suszarkę, drugą starała się nałożyć prowizoryczny makijaż, aby ukryć resztki wspomnień wczorajszego upojnego wieczoru.

Początkowo nawet broniła się przed wyjściem z domu. W tygodniu starała się nie imprezować, ale Roma i Milena były wytrawnymi zawodniczkami i wytoczenie argumentu z bólem głowy w roli głównej bardziej je śmieszyło, niż wzbudzało litość. Co miała robić? Dla świętego spokoju towarzyszyła im w klubie, a teraz, w piątkowy poranek, zbierała żniwo swojej uległości.

Myśl o ostatnim dniu pracy w tym tygodniu dodała jej skrzydeł. Projekt, w którym brała udział, zakończyła już w środę. Wczoraj naniosła wszystkie poprawki, a jak zwykle nie było ich mało, skoro nadzór nad kampanią reklamową sprawowała szefowa. Dzisiaj wystarczyło nie wchodzić nikomu w drogę, a od poniedziałku czekał ją urlop, i to w słonecznej Turcji. Odkąd kupiła wycieczkę, czyli od trzech tygodni, codziennie śledziła pogodę w tym kraju. W styczniu zdarzają się tam niezwykle deszczowe dni, ale zanosiło się na to, że w przyszłym tygodniu tylko dwa z nich będą trudne do przetrwania. Przez resztę czasu będzie się rozkoszować słońcem i szeroką plażą. Laura należała do osób zapobiegliwych, dlatego zdążyła już zebrać listę zamówień od przyjaciółek i właśnie te dwa gorsze

dni przeznaczyla na zakupy i szukanie torebek. Wiedziala przeciez, ze Turcja to raj dla kolekcjonerow podrobek znanych marek.

Laura wskoczyła w obszarpane dzinsy i elegancką białą koszulę. Włosy zwinęła w luźny kok i upchnęła je pod czapką. Mocniej zawiązała na szyi długi kolorowy szal i zapięła obszerny pikowany skafander. Czuła się w nim jak ludzik Michelina, ale przynajmniej nie marzyła, stojąc na przystanku autobusowym. Wprawdzie mieszkała w Warszawie, ale i tak musiała dojechać do Śródmieścia, którego nie znosiła. Na Woli było znacznie ciszej i spokojniej niż w centrum. Często, wchodząc do strefy zero, miała wrażenie, że czas przyspiesza o sto procent. Ulegała temu i wpadała w wir obowiązków, gdzie miała wrażenie, że dopiero co odbijała kartę przy wejściu do biurowca, a chwilę później wyłączała komputer i wychodziła z pracy.

Laura, zasuwając zamek przy kurtce, zbiegła z czwartego piętra i skierowała się do osiedlowego warzywniaka. Uwielbiała sprzedawane tam pączki obficie polane lukrem z zatopionymi w nim kawałkami kandyzowanej skórki pomarańczowej. Kiedy dopadła drzwi, czuła, że przesadziła wczoraj z drinkami. Zawroty głowy prawie pozbawiły ją świadomości. Do gardła podchodziła jej gula, której nie mogła przełknąć. Duszne powietrze niemal zaciskało się wokół jej szyi.

– Wszystko w porządku? – spytała korpulentna mat-

ka przedszkolaka zawzięcie żującego bułkę. – Coś kiepsko pani wygląda.

– Zmęczyłam się, bo biegłam całą drogę – wyjaśniła Laura, ciężko sapiąc.

– Wy, młodzi, wiecznie się spieszycie – wtrącił pomarszczony staruszek pakujący sprawunki do materiałowej torby. – Umrzeć nie będziecie mieli czasu.

Ekspedientka w wieku emerytalnym uśmiechnęła się pod nosem i puściła oko do Laury. Znała ją z widzenia. Kilka razy w tygodniu wpadała na drobne zakupy. Widocznie nie lubiła tych wielkich zatłoczonych marketów, gdzie można kupić dosłownie wszystko, ale potrzeba na to dużo czasu, bo wszędzie panuje tłok.

– Co zrobić? Takie czasy – wtrąciła matka przedszkolaka, przeciskając się bliżej lady, i zapłaciła za bułkę pochłoniętą przez berbecia do połowy i swoje drugie śniadanie.

Malec na odchodne głośno zaciamkał i mocno trzymany przez matkę za rękę oddalił się w stronę przystanku autobusowego.

W tym czasie Laura zdążyła ochłonąć i wyjąć portmonetkę. Co rusz spoglądając w stronę przystanku, kupiła pączki i sok pomarańczowy. Zimą hołdowała zasadzie, że trzeba robić wszystko, żeby dostarczyć organizmowi niezbędny zastrzyk energii. Sprzedawczyni z uśmiechem mówiła coś o zapowiadającym załamaniu pogody, ale Laura miała tylko jedną myśl w głowie. Nie mogła się spóź-

nić do pracy. Zgarniając resztę pieniędzy z lady, kątem oka dostrzegła błysk światła. Doskonale go znała. Nie bacząc na sypiące się monety, wybiegła na chodnik. Chłód natychmiast przeszył ją do szpiku kości, ale nie zwolniła.

Chwilę później stała wciśnięta między grupę nastolatków głośno rozprawiających o zbliżających się feriach. Dopiero teraz Laura uświadomiła sobie, że nie przemyślała terminu swojego wyjazdu. Nie cierpiała tłoku na lotnisku i głośnego płaczu dzieci w samolocie, ale najgorsze w tym wszystkim było zamieszanie, jakie robili wokół siebie pasażerowie lecący na wczasy w celach konsumpcyjnych. Znała ten typ podróżników, którzy przez tydzień tylko siedzieli w hotelu, korzystając ze wszystkich jego atrakcji, zwłaszcza z tych proponowanych w barach z darmowymi drinkami. Myśl o tygodniu w takim towarzystwie nie była pokrzepiająca. Owszem sama nie należała do abstynentek, ale na wyjazdach nie to było dla niej najważniejsze. Wolała aktywny odpoczynek, dlatego swoją podróż zaplanowała w najdrobniejszych szczegółach. Jechała na wybrzeże, dumnie zwane Riwierą Turecką, słynące z bogactwa zabytkowych budowli, które podobno zachowały się w lepszym stanie niż w Grecji.

Kiedy wraz z innymi pasażerami wydostała się na chodnik, jeszcze długo podążała z tłumem. Dopiero przestępując próg szklanego biurowca, poczuła, że może swobodnie nabrać powietrza. Wchodzący do budyn-

ku pracownicy jedynie na sekundę zatrzymywali się przy metalowych bramkach, żeby zeskanować swoją kartę wstępu, jeszcze w domu zawieszoną na szyję. Cała procedura nie trwała długo, a sprawnie kursujące windy pochłaniały kolejne grupki pracowników.

Drzwi otworzyły się na trzynastym piętrze i Laura wyszła na krótki korytarz. Po kilku krokach znalazła się przed szklanymi drzwiami. Zrobiła głęboki wdech i weszła do środka.

– Cześć, Majka – powitała kościstą recepcjonistkę, która najpierw była wegetarianką, później weganką, a teraz stała się frutarianką i jako swoją misję traktowała edukację wszystkich mięsożerców, w których nie odnajdowała cech ludzkich. – Harpia już się zjawiała?

– Masz szczęście, dzisiaj przyjdzie dopiero po lunchu, bo ma jakieś ważne spotkanie na mieście – wyjaśniła, nie odrywając oczu od monitora. – A słyszałaś o owocach, które podobno śmierdzą jak kupa?

Laura przypomniała sobie o schowanych do torby pączkach i głośno przełknęła ślinę.

– Nie i nie chcę słyszeć – dodała szybko. – Dasz mi klucze?

– Nazywa się durian i śmierdzi padliną połączoną z przepoconymi skarpetami i smażoną cebulą – mówiła Majka, wciąż wpatrzona w ekran. – W sumie to każde mięso tak śmierdzi.